

Krzysztof Dębnicki

Znormalizowana nierówność

Palestra 37/7-8(427-428), 53-56

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Krzysztof Dębnicki

■ Znormalizowana nierówność

Mani Dixit był niewielkim, łysiejącym Nepalczykiem w grubych okularach. zastępował redaktora naczelnego w tygodniku „Samiksha”, drukowanym w nakładzie tysiąca pięciuset egzemplarzy. „Samiksha” uchodził za jeden z największych najpoczytniejszych w kraju. Był oczywiście lewicowy, jak prawie cała nepalska inteligencja.

Kiedy Mani Dixit akurat nie przeglądał gazety, a z rzadka jakiegoś maszynopisu, to popijał herbatę. Robił to często. Najpierw wołał: „Maczabhe! Ee, Maczabhe!”. Za chwilę w drzwiach gabinetu pojawiał się wysoki, tyczkowaty Newar.

Przynieś herbatę – zarządził Mani Dixit. Maczabhe niespiesznie oddalał się, brał tacę i schodził na parter. Przepychał się między rykszami i poobtlukiwanymi taksówkami na przeciwną stronę ulicy, żeby w jadłodajni „mamuški”, jak ją zwano w okolicy, pośród parujących garów z ryżem i palących gardło *sabzi* zamówić kilka szklanek mocnej i bardzo słodkiej herbaty z mlekiem. Potem przeciskał się z powrotem przez potok skrzeczących ryksz i trąbiących samochodów, które nie zwracały na niego większej uwagi – w Kathmandu pieszy wkraczający na jezdnię bierze wyłączną odpowiedzialność za swoje życie i zdrowie – wyławił palcem paproch, albo muchę, która w tym całym zamieszaniu dostała się do herbaty i po wąskich schodach wdrapywał się do siedziby redakcji.

Kiedy Mani Dixit nie przeglądał gazet ani nie pił herbaty, to zazwyczaj drzemał.

Nie tym razem jednak. Tym razem był ożywiony i rozmowny, po trzeciej szklance mocnej herbaty, która podziałała na nas jak kawa. Ponadto podniemał go temat rozmowy. Tłumaczył mi mianowicie dlaczego został komunistą. Było to dla niego tym ważniejsze, że przybywszy z kraju, który właśnie dobrowolnie zrezygnował z przewodniej roli partii – do wprowadzenia której on dążył – stanowiąc dla Mani Dixita ciekawy, a może nawet niezwykły obiekt.

Ledwo widoczny za biurkiem zawalonym papierzyskami, w jednostajnym szumie sufitowego wentylatora osuszającego plamę potu na moich plecach, przyglądał mi się zza swoich grubych okularów, nienaturalnie powiększonymi ciemnymi oczyma. Właściwie nie prowadziliśmy dyskusji. Mani Dixit był człowiekiem wierzącym. Jego religię stanowiła teoria walki klasowej a pismem świętym był *Kapitał* Marksa i *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu* Lenina. Miał jednak swoje powody – a ja byłem jak najdalszy od negocjowania ich – żeby stać się komunistą.

– Jestem braminem z południowego Nepalu – powiedział – Pochodzę z bardzo ortodoksyjnej rodziny. Bramini z *teraju*, tacy jak ja, nie mają wśród braminów w ogóle najwyższej pozycji, może dlatego moja rodzina zachowywała się aż tak prawowiernie.

Musieliśmy się starać w dwójnasób, żebyśmy mogli być akceptowani, choćby po części przez najlepszych spośród braminów indyjskich, tych z Benaresu na przykład.

Rodzina Mani Dixita była ściśle paternalistyczna. Zasady hierarchii w życiu domowym przestrzegano surowo i w najdrobniejszych szczegółach. Trudno zdecydować w jakiej części wynikało to z cech osobowych jego ojca – może z natury był autokratą – a ile z przyjętych zasad postępowania, których jako bramin-*pahari*, człowiek z gór, którego czystość rytualna budziła niejaki wątpliwości wśród nizinnych przedstawicieli kasty, musiał trzymać się szczególnie sztywno.

– Proszę sobie wyobrazić taką prostą, wydawałoby się rzecz, jak wspólny rodzinny obiad – kontynuował mój rozmówca. – Dla Europejczyka celem spożywania posiłku jest zaspokojenie głodu. Co najwyżej spełnia on funkcję towarzyską. Dla nas był to cały, skomplikowany rytuał, prawie że sakrament religijny. Kuchnię, w której królowała moja matka, codziennie czyszczono krowim łajnem rozpuszczonym w wodzie. Czy krowie łajno może czyścić? Co za nonsens, prawda? A jednak codziennie wylewano na naszą glinianą podłogę kubel takiego płynnego nawozu ponieważ uważa się, że posiada ono właściwości **oczyszczające rytualnie**. Nikt spoza kasty nie miał wstępu do kuchni, z wyjątkiem zamiataacza. Gdybyś na przykład ty tam wszedł, to zaraz po opuszczeniu domu odprawiano by ceremonię oczyszczającą. Dla ortodoksyjnego hindusa Europejczyk to osobnik kalający – zaśmiał się.

– Czy nie kalam cię przypadkiem w tej chwili swoją obecnością? – spytałem niby dla żartu, choć tylko częściowo.

– Nie mnie – odparł Mani Dixit. – Jestem marksistą, więc mnie nic nie kała. Nawet Maczabhe, który nie jest co prawda niedotykalnym, ale należy do kasty newarskich *siudrów*, dość podłej. Normalnie trzymałoby się go na odległość wyciągniętej ręki – co najmniej. A ja biorę od niego herbatę, pomimo tego nawet, że wsadza do niej paluch! Mój ojciec umarłby ze wstrętu – dodał, jak mi się wydawało nie bez ukrytej satysfakcji.

– A co działo się, kiedy obiad został wreszcie podany? – ciągnął – otóż było tak: najpierw najadali się mężczyźni, a było nas wielu, bo mieszkaliśmy razem z wujkami i dziadkami, potem do ryżu dolewano wody i spożywały go nasze kobiety. Kiedy się nasyciły, o ile było to możliwe tą ryżową bryją, do gara dolewano jeszcze więcej wody i podawano służbie. Służący stale byli głodni. Moja matka zresztą też. Uważano to za normalne zjawisko. Taki naturalny system hierarchiczny, taka znormalizowana, pełna nierówność. I wiesz co we mnie powodowało odruch obrzydzenia? To, że nikt się nie buntował, że tę oczywistą niesprawiedliwość przyjmowano za naturalne zjawisko, jak to, że co roku po porze gorącej nadchodzi monsum. Nie mogłem tego znieść.

Przetarł okulary końcem krawata. Popatrzył na zegarek, jak gdyby opowieść o jedzeniu pobudzała mu soki żołądkowe.

– Maczabhe!

– Tak panie? – odpowiedział służący stając w drzwiach.

– Przyniesz dwie *thali*. Aha, i jeszcze *barfi*! – zawołał za znikającym Newarem.

– Marksisci powinni być egalitarni – zauważyłem – a ty masz służącego, któremu każesz co chwila biegać po posyłki. Jak się to jedno z drugim łączy? Pewien indyjski

znajomy mówił mi, że w Indiach nawet komuniści są braminiczni. Sowieckim dyplomatom w Indiach Moskwa zakazała poruszania się rykszami rowerowymi, bo oznaczałoby to wykorzystywanie człowieka przez człowieka – w tym wypadku przez radzieckiego dyplomate, a do tego prawdziwy marksista ręki nie przyłoży.

– Naprawdę? – spytał – nie do wiary! W taki sposób pozbawiają zarobku biednych ludzi. Oczywiście, że zatrudniam służącego. Beze mnie żebrałby na ulicy albo grzebał po śmietnikach. Ale przyjacielu, co ty możesz wiedzieć o prawdziwej nędzy. O tym jak żyją pariasi, gorzej niż zwierzęta!

Mani Dixit miał w tym niemało racji. Podział kastowy praktykowany w Nepalu tylko nieco mniej rygorystycznie niż w Indiach zepchnął na margines całą, niemałą grupę społeczną, wykonującą niezbędne, ale uznane za rytualnie wyjątkowo nieczyste zajęcia, jak zamiatacze, czyszciciele szaletów, fryzjerzy i rzeźnicy. Dopiero w latach sześćdziesiątych wprowadzono nowy kodeks cywilny zrównujący w prawach wszystkich mieszkańców królestwa. Wcześniej, od połowy zeszłego stulecia, obowiązywał ogłoszony przez Jung Bahadura Ranę kodeks kastowy.

Jung Bahadur był człowiekiem przewidującym i zdecydowanym. Obie te cechy przejawiał w 1846 roku, kiedy na zwołane przez królową zgromadzenie wszystkich możliwych stolicy przybył z pułkiem dowodzonych przez siebie żołnierzy. Kiedy wśród zgromadzonych na pałacowym dziedzińcu arystokratów, wiecznie spiskujących, doszło do ostrej kłótni i gdy co bardziej krewcy sięgnęli do szabel, Jung Bahadur wprowadził przez bramę swoich żołnierzy i kazał otworzyć ogień. „Krew płynęła rynsztokami” – opisał to wydarzenie brytyjski rezydent w Kathmandu.

Jung Bahadur pozbył się większości potencjalnych konkurentów do władzy. Wkrótce potem sprowadził króla do pozycji honorowego więźnia w jego własnym pałacu, a swojej rodzinie, na przeciąg stu lat zagwarantował nienaruszalną pozycję dziedzicznego premiera. Uczynił to, między innymi, kształtując nepalskie prawodawstwo i system polityczny zgodnie z ortodoksyjnymi zasadami kastowymi.

Mani Dixit przeknął ostatni kęs słodkiego *barfi* wypełnionego orzechami *cashew*. Czknął delikatnie, co było przejawem satysfakcji. Nie bez przyczyny. *Sabzi*, pięć różnych jarzyn przyprawionych ostrym sosem, podane z ryżem na szerokim płaskim metalowym talerzu, było doskonałe. „Mamuškę” nie bez powodu chwalono w całej dzielnicy Tangal. Potem sięgnął do szuflady swojego obszernego, odrapanego biurka po butelkę.

– Khukri rum – pokazał dwa skrzyżowane, zgięte noże bojowe Gurkhów na nalepce. – Najlepszy od Himalajów po Ocean Indyjski! Czerwony jak krew, którą utoczmy z żył wyzyskiwaczy, kiedy nadejdzie godzina prawdziwej rewolucji! – zaśmiał się. Zabrzmiało w tym jednak więcej ironii i rezygnacji niż prawdziwej groźby. Obydwa wiedzieliśmy, że gdyby doszło co do czego, to znacznie, znacznie więcej krwi utoczy armia.

– Za nepalską demokrację – powiedziałem podnosząc szklankę z odrobiną rumu na dnie. „Biedny Mani”, pomyślałem, nigdy nie był w mojej części świata, więc nie wie, jak napełnia się szklanki. Jak mieliby zrobić tu rewolucję, skoro nie potrafią pić heroicznie?

Mani Dixit wypił, pokiwał głową i odniosłem wrażenie, że za moment zapadnie w drzemkę. Po chwili jednak ożywił się.

– Opowiadałeś mi o waszym totalitaryzmie, ale zauważ, że u nas też nigdy nie było demokracji, a autokracja wyższych kast na stałe wykrzywiła charaktery. Cały system społeczny oparty jest na zasadach zupełnie nieprzystających do norm demokratycznych. Dlatego jestem bardzo, bardzo sceptyczny, czy jakikolwiek demokratyczny eksperyment może się tu powieść. Do niedawna nasz system społeczny był w ogromnym stopniu oparty o zasady sformułowane już kiedyś przez Jung Bahadura Ranę. A były to normy całkiem totalitarne! *Muluki Ain*, czyli kodeks cywilny, który wprowadził, nakładał na państwo obowiązek kontrolowania indywidualnych zachowań poszczególnych ludzi. Władza doglądała zachowania Nepalczyka od kiedy skończył dwanaście lat w każdym, najbardziej nawet prywatnym aspekcie. O każdym pogwałceniu zasad czystości kastowej należało donieść. Trzeba było poinformować, jeśli dziecko po wypróżnieniu nie podmyło się zgodnie z zasadami i zanieczyściło rytualnie współdomowników. Tak samo o niezgodnych z zasadami zachowaniach seksualnych czy o wspólnym spożywaniu posiłków przez osoby do tego nieuprawnione. Żonę karano jeżeli nie poinformowała władz o naruszeniu norm kastowych przez męża, ale nie karano, jeżeli zataiła popełnioną przez niego kradzież!

Mani Dixit pokazał leżącą na skraju biurka gazetę. Był to wydawany po angielsku „Rising Nepal”, rządowa publikacja. Otworzył na wewnętrznej stronie, gdzie zakreślono czerwonym flamastrem dwa tytuły. Pierwszy informował: „Sprawca zabójstwa byka skazany na dwanaście lat”, a poniżej „Dziesięć lat dla mordercy policjanta”.

– No i co? Mamy już demokrację. Mamy nowy kodeks cywilny. Wszyscy jesteśmy równi wobec prawa, ale sam popatrz, co się zmieniło? – zapytał. – „Dopóki święty byk czy święta krowa będą więcej znaczyć niż człowiek, to taki Maczabhe nigdy nie będzie równy braminowi.

– No i dlatego zostałem komunistą – dodał po chwili milczenia, odstawiając pustą szklankę. – Może niepotrzebnie. Dziś trudno powiedzieć. Ale trzydzieści pięć lat temu była to jedyna organizacja, która chciała cokolwiek zmienić w tym kraju.

Nota o autorze:

Dr Krzysztof Dębnicki jest adiunktem w Zakładzie Indologii Instytutu Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w historii Indii, państw indyjskich i Tybetu.